

KOLUMB

PAMIĘTNIK PODRÓŻY.

N^er 12.

Z DRUGIÉJ POŁOWY CZERWCA 1828 ROKU.

XVII.

PODRÓŻ Hr. JANA POTOCKIEGO *do Astrachanu i okolic przyległych w roku* 1797.

(*Dokończenie.*)

Pobyt mój w Astrachanie dał mi sposobność zebrania wielu ciekawych wiadomości. Pierwsza horda ukazująca się na wschodniéj stronie Wołgi, składa się z Tatarów Nogajskich, mających podobieństwo z Astrachańskiemi. Za rzeką Ural czyli *Jaik* mieszkają trzy hordy Kirgizów, które jak mówią mogą w potrzebie dostarczyć około 150,000 jeźdźców. Po Turkomanach, Kirgizowie są najgorszemi sąsiadami w Azji. Chociaż część tego narodu uznaje zwierzchnictwo Rossji, nie raz jednak prywatni samowolnie prowadzą woj-

ny. Przebywają Wołgę lub Jaik ciągnąc za sobą konie na powrozach i biada Rossjanowi który dostanie się im w ręce! Prowadzą go bowiem na przedaż do Chiwy. Ale i im równymże odpłacają sposobem: trzydziestu jeńców Kirgizkich znajduje się teraz w Astrachaniu. Widziałem płaskie ich twarze. Kirgizowie trzymają środek między Tatarami, a Kałmukami: lecz są wyższego wzrostu, i ogromniéjsi od tych ostatnich.

Karakałpakowie czyli czarne czapki, stanowią teraz już nieliczne pokolenie; koczują nad brzegami jeziora Aral, i najmują się w Chiwie za robotników dziennnych.

Tatarowie Chiwijscy są osiedli, pilnują się swych wiosek i mają stolicę. Drewniane ich domy porządnie zbudowane, wewnątrz opatrzone bywają tynkiem i przyozdobione malowidłem. Chan Chiwijski, jest niewolnikiem w własnym zamku; a ci którzy mają najwyższą władzę w swym ręku, rządzą pod jego imieniem, i jeśli się on sam im nie podoba, wysyłają go do Bucharji, a ztamtąd sprowadzają sobie innego.

Najazdy Kirgizów dostarczają każdemu domowi w Chiwie po jednym lub po dwóch niewolników Rossyjskich, którzy jeżeli chcą przyjąć wiarę muzułmańską natychmiast otrzymują wolność. Powiadają, że niewielu z nich chwyta się tego sposobu.— Szczegółów tych dowiedziałem się od jednego Rossjanina, który więcéj 20 la

był niewolnikiem w Chiwie. Zawsze można widzieć kupców Chiwijskich w Astrachaniu: przybywają oni do Rossji tak śmiało, jak gdyby nie naruszali prawa narodów, kupując jeńców Rossyjskich, i przez to zachęcając Kirgizów do nowych napadów. Poznałem ich kilku: wszyscy są grubijanie i nieprzystępni; mało od nich wiadomości powziąść można.

Cały Turkestan naśladuje ton stolicy swéj Buchary. Chan Bucharski, mieszkający niekiedy w Samarkandzie, jest władcą możnym, i tak zręcznym, że mówiąc zawsze w imieniu koranu, na teokracji opiera swą władzę. Bucharowie starożytni Sogdjanie, i teraz podobnie jak dawniéj prowadzą handel w całéj Azji wyższéj. Jeżdzą po towary indyjskie do Multanu, po chińskie do Kaszgaru, a po rossyjskie do Orenburga. Starożytne nazwisko ich: Sogdjanie, bardzo zbliża się do wyrazu *Sudager* w Perskim języku znaczącego kupiec.

Turkomani żyjący nad brzegami morza Kaspijskiego, równie jak Kirgizy, naród zupełnie koczowniczy, chociaż za główny przemysł mają łupieztwo, trudnią się jednakże handlem w Mangiszlaku, dokąd przybywają statki rossyjskie. Nikt atoli nie śmie tu na ląd wystąpić, póki nie weźmie od nich zakładników, lubo i ten środek nie zawsze bywa skutecznym. Bardzo więc byłoby niebezpieczną rzeczą, chcieć poznawać tam

naród w własném jego siedlisku. Są jeszcze Turkomani podlegli Rossji.

Za Chorazanem leży Kandahar, gdzie Afgani pod swoim królem Zeman-Szachem, są narodem panującym; w ostatnich czasach poczynili znaczne zabory; posiadają wiele prowincji perskich, i jak powiadają opanowali królestwo Kaszemirskie, zkąd pochodzą owe piękne szale, tak upodobane kobiétom europejskim. Znajduje się teraz w Astrachaniu xiąże Afgański syn Assad-Chana, którego Car georgjański Herakljusz trzymał w niewoli. Nie miałem szczęścia zabrać z nim znajomości; lecz zapewne nie wiele by mógł mi powiedzieć o swojéj ojczyznie, gdyż całe życie przepędził w Persji.

Większa część Indjan mieszkających w Astrachaniu, jest rodem z Multanu, prowincyi Afganom podległéj. Mają oni Braminów, pokutników, wodę z Gangesu, słowem wszystko co należy do ich religji. Byłem obecnym ich modlitwom wieczornym, przesyłanym do Wisznu. Nabożeństwo ich nie jest pozbawione powierzchownéj okazałości, ile miejsce i okoliczności pozwalają. Indjanie Astrachańscy jedzą mięso oprócz wołowego, a to przez poważenie, jakie mają dla krowy. Często kupują ptaki jedynie dla tego aby je wypuścić na wolność; karmią psy włóczące się po ulicach, i w powszechności okazują wielkie przywiązanie do zwierząt. Po dziennéj pracy przechadzają się po najętym

ogrodzie; palą swój kaleun, jedzą ryż, lub z podziwieniem zastanawiają się nad pięknym kwiatkiem albo trawką, uwielbiają Twórcę, w najdrobniéjszych jego dziełach; i nakoniec pełni zadowolnienia wracają do swoich karawanserajów. Indjanin poczytuje siebie za szczęśliwego jeżeli może miéć szatę ciemno-zieloną lub szkarłatną: dwa te kolory bowiem bardzo im są ulubione. Po śmierci, ciała ich palą, a popiół odsyłają do Indji, dawniéj oni i za życia chętnie tam powracali, lecz teraz zaczynają czuć cenę wolności osobistéj.

Przypominam sobie, że w latach młodzieńczych, kiedy umysł pragnął wszystkie wiadomości ogarnąć zarazem, kiedy w tych latach zapału i mocy, chciałem wszystkie jakie tylko były dzieła o historji naturalnéj przeczytać w jednym roku, zdarzenie przywiodło mnie do instytutu Bonońskiego, gdzie z zachwyceniem, ujrzałem cały ogrom przedmiotów téj nauki, ułożony porządnie. Tu w podobnymże znajduję się przypadku. Historja narodów Azji środkowéj zajmowała mię bardzo, lecz tylko w xiążkach. Teraz widzę je przed sobą i widzę rysy charakterystyczne wszystkich tych ludów, rozważam ich podobieństwo i różnicę, djalekta i i podania. Nie mam już potrzeby sztuką wspierać pamięci, by mogła zatrzymać mnóstwo wyobrażeń, mało mających związku między sobą. Wszystko cokolwiek się ściąga do tego przed-

miotu, bez zmordowania uwagi, jasno i trwale wraziło się w mój umysł. Lecz razem spotkałem nowe trudności. Postrzegam ludzi mówiących różnym językiem, chociaż z ich spłaszczonych twarzy sądziłbym, że należą do jednego narodu; przeciwnie, inni zupełnie odmiennych rysów, używają tegoż samego djalektu, a wszyscy poczytują się za prawdziwych Tatarów Dzingis-Chana.

Więcéj znajduje się w Astrachaniu kupców perskich, niżeli indyjskich. Widziałem dwustu pierwszych, zebranych w karawenseraju, przyozdobionym przez nich dla obchodu uroczystości Hussejna. Budowę oświecały wielkie latarnie w smaku chińskim, co bardzo piękny widok czyniło. Lecz najżywsze wrażenie zrobiła na mnie tolerancja tak powszechna, jakiéj pewno na żadném innem miéjscu kuli ziemskiéj znaleść trudno. Zwolennicy Ali w karawenserajach swoich, przeklinając wyznawców sekty Omara, mogą słyszéć wołania ich muezzinów, wzywających na modlitwę, dzwony kościoła greckiego, tamtamy Indjanów i nawet mruczenia Lamitów. Dają się tu jeszcze widziéć rozmaite sekty starowierców, oraz wszystkie wyznania Europejskie i Azjatyckie Chrześcjan.

Badania starożytności, języka i pochodzenia Persów, podały mi bardzo przyjemne zatrudnienie. W nowéj mowie perskiéj znalazłem wyrazy zapisane przez Strabona: *Paropamizm* (po-

kryty śniegiem), *saropara* (ścinacz głów), *tigres* (strzała); to nastręcza mi wniosek, że teraźniéjszy język perski nie jest mieszaniną języka Partów, a zatém, że mnóstwo wyrazów europejskich w nim znajdujących się, nie pochodzi od języka Partów. Polegając na świadectwie Strabona, uważam Persów za gałęź Medów, podbitych przed czasami Cyrusa. Z drugiéj strony, nie mogłem pojąć dla czego Persowie nagle nikną w historji, ustępując miéjsca swojego Mardom? Sądziłbym, że ci Mardowie prosto są Medami; Mojżesz Chereński utwierdził mnie w tém mniemaniu, nazywajc po armeńsku Meda, Mar, a Medów Maratami. Teraz język turecki opanował prawie cały Aderbejdżan; lecz po górach znajdują się jeszcze djalekta wpółperskie, będące może ostatkami starożytnego języka Medyjsko-perskiego.

Jeżeli badania te szczęśliwie mnie doprowadzą do narodów i języków nowszych, będę to nadewszystko winien niespodzianemu szczęściu znalezienia biegłego nauczyciela, który mi ułatwia poznawanie języków i narodów teraźniéjszych.

Nauczycielem tym jest Abbas-Chan znakomity Pers, równie szanowny z zalet umysłu, jak przymiotów serca. Aga Mohamed-Chan tak go poważał że uczynił go rządcą Ispachanu, a potém Gilanu. Mustafa-kuli-Chan wziąwszy go w niewolę w téj prowincji, zaprowadził do Rossji,

jako zakład bezpieczeństwa swojéj rodziny będącéj w ręku jego brata.

Kiedym przybył do Astrachania, Abbas-Chan uwolniony przez rząd Rossyjski, zabierał się powrócić do dawnego swojego pana, i usilnie mnie namawiał, abym jechał razem, obiecując najlepsze przyjęcie. W tém przyszła wiadomość, że Aga-Mohamed-Chan został zabity przez swoich niewolników. Abbas-Chan nowiną tą jak piorunem rażony, wpadł w głęboką tęsknotę. Nie wielu go odwiedzało, może przez bojaźń narażenia się Mustafie. Dziwiło mnie że człowiek takiego charakteru jak Abbas-Chan do tego stopnia był dotknięty śmiercią człowieka tak okrutnego; lecz trzeba wiedzieć, że posiadał zupełną ufność Agi, a przytém Persowie okrucieństwo uważają za atrybucyą władzy; sądzą że w Persji inaczéj panować nie można, i przenoszą tyranję nad anarchję. Nadto Aga-Mohamed-Chan miał słuszne prawo użalania się na ludzi: jeden bowiem z nieprzyjaciół jego ojca jeszcze w młodości zrobił go eunuchem. Mohemed był potém niewolnikiem na dworze Kerim-Chana, gdzie był przypuszczony do wszystkich tajemnic polityki perskiéj. Nakonice, gdy zbieg okoliczności pozwolił mu okazać swoje talenta przeciwko nieszczęśliwemu Hedajet-Chanowi, a gdy nie zostało mu już przeciwników, w tedy prawie przez lat dziesięć nad całą Persją panował. Celem jego dumy był tytuł Szacha.

Chciał podbić xiążąt Kaukazkich i Chorasańskich, żeby z tém większą świetnością włożyć na siebie koronę Nadyra. Smierć przecięła jego dumne zamysły, i Persja znowu pogrążyła się w anarchji.

Między innemi wiadomościami, winienem Abbas-Chanowi poznanie języka Taliszyńskiego, który jest tylko barbarzyńskim djalektem mowy Perskiéj. Persowie mówią *fader* (ojciec) *moder* (matka) *buroder* (brat); Taliszanie zaś: *farmur*, *buc.*; pies nie nazywa się u nich *speka* jakem powiedział wyżéj, lecz *sepa*, co się nie bardzo różni od *spako* Herodota. Z resztą wiele jest djalektów w małym kraju Taliszi. Słownik mój obéjmuje tylko używane w stronach nadmorskich. Kupiec tameczny Hadzi-Chiassem dyktował mi je w obecności Abbas-Chana, który dwa lata przepędził w tym kraju. Znajduje się teraz w Astrachaniu posłaniec od Hana Taliszyńskiego, lecz nie widziałem go z przyczyny że był chory.

13 Sierpnia przebywszy pocztę kozacką do Zamjańska, spotkałem ludzi Tumena xięcia kałmuckiego, którzy pojechali przodem dla oznajmienia mu o mojém przybyciu. Popłynąłem w górę Wołgi na łódce pędzonéj przez dwóch kozaków, i po kilku godzinach przybyłem do hordy. Xiążę spotkał mnie u drzwi namiotu dla mnie przygotowanego. Namiot był wybity

adamaszkiem chińskim i była w nim porządna pościel. Podano mi wieczerzę zrobioną po europejsku. Tiumen i syn jego dosyć płynnie mówili zemną językiem Rossyjskim. Młody xiąże odbywał nauki w Astrachaniu i dosyć dobrze jest wychowany.

Równie niewłaściwie nazywam ruchome mieszkanie kałmuków namiotem, jak Rossjanie *kibitką*, gdyż chatki te zrobione są z krat, okrytych wojłokiem. Rozbierają je i składają na wielbłądy; kraty podobnie można rozbierać jak wierzbowe nitki nazywane *fulen*; kałmucy tym mieszkaniom dają nazwisko Gir. Budy Tatarskie podobnież są robione, ale mniejsze. Tatarowie nazywają je *Kara-czu*.

Czternastego sierpnia obudziła mnie muzyka Chińska; wstałem natychmiast, i poszedłem chcąc przypatrzyć się modlitwom Gelongów. Było ich trzydziestu w Girze. Spiewali hymny z towarzyszeniem muzycznych instrumentów, znajomych mi nieco, ponieważ widywałem je na chińskich obiciach. Gelongowie kiedy niekiedy czynili poruszenia gardła jak gdyby splunąc chcieli; oprócz tego nic nienaruszało jednostajności ich śpiewu, trwającego niemal całą godzinę. Najbardziéj mnie uderzyło w oczy, że wszyscy mieli twarze pełne i rumiane, kiedy tymczasem kałmucy, nie wyjmując nawet xiążęcia, byli wychudli i żółtawi.

Poszliśmy potém w gościnę do Lamy, któremu wiek sędziwy, a może też godność nie pozwalała być obecnym na modlitwach. Wszystko w jego girze miało kształt chiński, i w istocie z Chin było sprowadzone. Twarz jego doskonale odpowiadała wszystkiemu temu, co go otaczało, a co żywo przypomniało mi Chińskie pagody, ozdobę niegdyś naszych kominków. Uważają go za wzór świątobliwości i źródło mądrości. Pokazałem mu dzieła ojca Georgi. Kapłan z łatwością czytał znajdujące się w nich Tybetańskie wyrazy; dziwił się mocno, że w Europie są xiążki pisane w tym świętym języku, a bardziéj jeszcze zdziwiły go przywileje dane Missjonarzom przez wielkiego Lamę. Stawiłem mu młodego mojego wychowańca, jako potomka Amurfany. Kapłan zrazu zdawał się powątpiewać o prawdziwości tego pochodzenia; lecz kiedym powiedział, że Amurfana miał w Syberji syna, który dzieckiem jeszcze zaprowadzony do Polski, tam się ożenił, i spłodził potomka teraz będącego ze mną; że nakoniec mam wszystkie burchany czyli posągi należące do tego Dżungarskiego xięcia; wtedy się mocno zamyślił i nakoniec przyznał, że moje opowiadanie ma wielkie podobieństwo do prawdy. Przypomnienie o świetnym dworze xięcia Kontajsze, gdzie Lama swą młodość przepędził, tak mocno rozczuliło tego starca, iż musiałem wyjść czém-

prędzéj. Powiadano że po rozstaniu się zemną płakał rzewnie.

Kiedym powrócił od duchownego naczelnika, xiąże Tiumen stawił mnie żonie swéj xiężnie Nurdzanie. Młoda ta kobieta dosyć jest piękna w swoim rodzaju. Snieżna białość jéj twarzy jeszcze się jaśniéjszą wydaje obok hebanowéj czarności włosów. Nurczana bawiła się czytaniem mongolskiéj xięgi, opisującéj wielkie dzieła Dzingis-Chana. Korzystając z okoliczności zapytałem czy nie pozostało u nich jakiego podania o narodzie Ujgurów, którym przypisują wynalezienie liter mongolskich. Tiumen mi odpowiedział, że Kałmucy zgoła nic nie wiedzą o tém narodzie, tylko zachowuje się jeszcze między nimi przysłowie. »Nie rozumiem tego człowieka; musi to być Ujgur.»

Chciałem dowiedzieć się także, czy są jeszcze ślady téj czci, jaką Mongołowie progom swych mieszkań oddawali, tak dalece, że zakonnicy chrześciańscy którzy na swoje nieszczęście dotknęli się ich nogą, byli okładani kijmi i nawet zagrożeni śmiercią.

Tiumem mi powiedział, że to poszanowanie jeszcze się zachowuje; można się dotknąć progu, ale usiąść na nim, jest grzechem wielkim. Może być że ztąd to pochodzi nazwisko Wysokiéj Porty.

Kiedyśmy się bawili tą historyczną rozmową, xiężna tym czasem zajmowała się xiążęciem Hu-

waszem, czteroletnim synem swoim. Tiumen miał z Nurdzany tylko to jedno dziecię, lecz godne wszelkich pieszczot, gdyż było najpiękniejszym kałmuczkiem. Wielożeństwo jest pozwolone Kałmukom; mało wszakże widać tego przykładów.

Podano nam wódkę z kobylego mleka (kumys) i herbatę gotowaną w maśle. Wódka jest słaba, i ma w sobie coś tłustego, co się mi niepodobało. Herbata którą kałmucy umyślnie dla siebie z Chin sprowadzają, zupełnie różni się od naszéj. Zawiera się ona w grubych tabliczkach, tak prawie twardych jak cegła, i obwiniętych cienkim papierem, zapisanym mnóstwem liter. Kałmucy gotując tę herbatę z mlekiem i masłem otrzymują napój zdrowy i wzmacniający. Wszyscy Tatarowie przyjęli ten zwyczaj.

Co raz się schodziły nowe osoby, prawdziwie dziwne i około nas siadały. Byli to Tatarowie Kundurscy w okolicach koczujący, którzy przybyli do nas z oświadczeniem uszanowania. Tiumen kazał im podać kumysu, zresztą zdawało się, że mało na nich zważał; Kundurowie przeciwnie najgłębszą cześć mu okazywali. Dziwiło mnie to uniżanie się dumnych muzułmanów przed bałwochwalcą; lecz skłaniał ich do tego wzgląd na jego pochodzenie od Dzingis-Chana, bogactwa i prawość charakteru, równie przez narody koczownicze, jak przez samychże Rossjan wielbione powszechnie, od brzegów Jaiku aż do

Kubanu. Przy obiedzie przez grzeczność mięso końskie przenosiłem nad inne, i nawet sam prosiłem o nie. Kiedyśmy siedzieli u stołu, bawił nas śpiewak przygrywający na instrumencie strunowym, zwanym *jałga*; tyle tylko mogę powiedzieć o nim, gdyż instrument ten zgoła nie był podobny do żadnego z naszych. Jeden śpiew jego przypominał mi nutę znajoméj piosnki: »*Ramonez-ci*, *Ramonez-la*, *i t. d.* Po obiedzie przyszło dwóch xiążąt z familji Donduk-Ombo; jeden nazywał się Nukunlin, drugiego nazwiska nie pamiętam. Oba nie umieli po rossyjsku, i nie mieli oświecenia wyższego, nad właściwe swemu narodowi.

Zaczęło się natenczas świetne polowanie: xiążęta Kałmuccy wyjechali z sokołami; towarzyszyli im Tatarowie Kundurscy, i cała równina pokryła się jezdźcami. Uszczwano czapli ile się podobało, i każden powrócił kontent z zabawy.

Cały ranek 15 sierpnia przepędziłem na rysowaniu burchanów czyli posągów w bóżnicach, namiotów, i tego wszystkiego, co należy do nabożeństwa lamajskiego. Każda rzecz odznaczała się bogactwem; burchany były ozdobione perłami, a instrumenta muzyczne oprawne w srebro i drogie kamienie. Duchowieństwo jest bardzo liczne. W hordzie téj składającéj się tylko z tysiąca girów, czyli 3,000 dusz znajdowało się duchownych rozmaitego stanu około 220; lecz nie są to ludzie bezużyteczni, jedni

uczą młodzież, drudzy są biegli w medycynie a mianowicie w znajomości lekarstw prostych. Gelongowie ci nie mają potrzeby żebrać o jałmużnę; naród, nie czekając proźby, opatruje ich we wszystko. Po obiedzie byłem obecny ceremonji duchownéj, zupełnie różnéj od pierwszéj. Gelongowie ubrani w krótkie, bardzo bogate kapy, mieli fartuchy z chińskiego adamaszku, i mitry przyozdobione figurami. Strój ten czynił ich podobnymi do Bonzow chińskich. Żaden przy tém instrument muzyczny nie dawał się słyszéć; każden mnich trzymał w ręce lewéj brzękawkę mosiężną, a w prawéj narzędzie, którego nie wiem ani nazwiska, ani użycia; wszyscy prócz tego mieli miski miedziane i nasiona jakiéjś rośliny, uwinięte w kawałek płótna. Przed modlitwą zasłonili sobie oczy szmatkami tafty i szeptali jakieś wyrazy, wydając kiedy niekiedy dzwięk, który słyszałem dniem przed tém. W ciągu téj ceremonji często składali ręce, podobnie jak my czynimy mówiąc pacierze; potém rzucali nasienie w górę. Jeden z nich powstał, zapalił na ołtarzu kadzidło, wziął naczynie w którym pływało trochę puchu, nalał z niego żółtawego rozcieku do konchy i odzielił wszystkich mnichów. Ci pili ten napój, namaszczali nim czoła, i resztę ofiarowali Bogom. Zdaje się, że wszystkie te obrzędy odbywały się podług ustanowionego porządku ; a

ponieważ trwały dość długo, miałem czas odrysować i kapłanów i miéjsce modlitwy.

16 Sierpnia odwiedziliśmy jeden folwark. Widziałem tu nieszpetne pasterki, dojące klacze. Powracając do Tiumena złowiliśmy jeszcze kilka czapli. Kałmuk bez sokoła na krok nie wychodzi z mieszkania. Każdy ma swojego, karmi go sam, i cały dzień prawie z nim się bawi.

Po południu sądzono dwie osoby za naruszenie praw czystości. Przestępcami byli : Tatar kundurski dosyć już w latach, i Kałmuczka bardzo młoda, lecz niezmiernie brzydka. Zwodziciel został skazany na kilka kańczugów. Karę tę spełniono ze wszelką przystojnością, i śmiem powiedziéć, że równie bijący, jak bity, byli z niéj kontenci. Powinienem przydać, że obwiniony Tatar podjął się ujeździć w folwarku dzikiego konia, co mu zjednało serca Kałmuków. Z resztą jak uważałem, bardzo był rad, iż mu udało się wykręcić tak szczęśliwie: lękał się bowiem, aby go nie zmuszono zatrzymać przy sobie uwiedzionéj piękności. Jutro mamy być na obiedzie w hordzie obitego i uradowanego kochanka.

Podczas pierwszych dni mojego w hordzie pobytu, dęły od morza wiatry bardzo zimne, a późniéj zmieniły się w gorące i przenikliwe. Zmiana ta powietrza wielu Kałmuków nabawiła kataru, co się im rzadko przytrafia. Niektórzy dostali febry, Tiumen zachorował, a ja sam

uniknąłem tego, i cierpiałem więcéj nad wszystkich. Musiałem więc opuścić obóz i przenieść się do pięknego domu, który mój gospodarz zbudował na mieszkanie dla siebie. Zmiana kwatery i starania, jakie czyniono około mnie, prędko powróciły mi zdrowie; jutro horda ma zmienić stanowisko i będę mógł udać się za nią. Będziemy na weselu: Din-Eslam, najbogatszy z Tatarów Kundurskich, wydaje swą córkę, i mówią że wspaniałość uczty przewyższy wszelkie spodziewanie.

D. 20 sierpnia rano udałem się do hordy będącéj już w drodze. Niezmierne mnóstwo wielbłądów niosło namioty i ruchomości. Prowadziły je kobiéty jadące konno; niektóre z nich trzymały dzieci na siodle przed sobą. Ubożsi nie wiele potrzebowali czasu na wywiezienie swojego dostatku. Nikt nie szedł piechoto: wszyscy, sam nawet stary Lama, na czele sędziwego synodu swojego jechał konno.

Idąc niejakiś czas za kolumną, wzięliśmy się na prawo, i weszliśmy do ziemi Tatarów Kundurskich, gdzie podróż nasza często była mitrężona: gdy sposobem wyżéj opisanym, albo w pław, musieliśmy przebywać kilkaset rzeczek, wpadających do Wołgi. Pominąwszy długi szereg aułów Kundurskich, przyjechaliśmy do aułu Din-Eslama, który poznaliśmy z daleka, ponieważ otaczał go tłum ludu.

Pierwszy znak poszanowania oddały nam dziewczęta, hójdające się na jednym wzgórku. Skorośmy się zbliżyli, porzuciły swą zabawę, i tak ścisnęły się w gromadę, że tylko widzieliśmy ich jedwabne suknie. Xiąże Tiumen powitał je w języku kałmuckim i prosił ażeby od nas nie stroniły, ponieważ przybyliśmy jedynie dla tego, aby je widzieć tańcujące. Tém grzeczném przemówieniem i głosem muzyki ośmielone młode nimfy, podjęły zasłony, i pozwoliły widzieć końce swych płaskich nosów. Dwie nawet podeszły ku nam. Muzyk zdjął im zasłony: na ten znak zaczęły tańcować z oczyma tak wdół spuszczonemi, iż zdawało się że je trzymały zamknięte. Mimo to jednak pilnowały się taktu, i ujęcie miały dosyć zgrabne. Po skończonym tańcu zakryły sobie twarze rękoma, ażeby ukryć pomięszanie dziecinne; potym gdy muzyk oddał im zasłony, odeszły z największą skromnością. Odzież tych dziewcząt była szczególniéj przyozdobiona mnóstwem srebrnych łańcuszków, tabliczek, naramienników, spinek, guzików, i tym podobnych błyskotek: w nosach miały kółka drogiemi kamieniami sadzone.

Poszliśmy potém do kobiet, ubierających pannę młodą. Nie szczędzono niczego dla okazałości uczty. Zabito cztery konie, cztery woły, i cztéry barany. Starsi familji przynieśli tłuste ogony owiec, podrobie, głowy, i inne przysmaki. Mimowolnie przyszło mi na myśl wesele

Gamacha. Mieliśmy namiot osobno dla nas przygotowany. Rozmawiałem w nim z Beg-Alim mottą Kundurskim. Jest to człowiek, jak na Nogajca, wcale uczony, a co osobliwsza, więcéj jeszcze nauczyć się pragnący. Powiedziano mu, że mam grammatykę turecką. Bardzo chciał ją widzieć. Mówiliśmy wiele o historji Kundurów; są oni prawdziwymi Nogajcami, ale przyjęli zwyczaj kałmucki mieszkania w górach, i dla tego ich auły, różnią się od aułów innych Tatarów. Zimę przepędzają w domach blisko Krasnojarska. Zachowuje się jeszcze u nich użycie gildergi, to jest kolasy z dyszlem, która pospolicie stawia się przy namiocie i służy za skrzynię do składu. Zwyczaj ten bardzo jest starożytny, gdyż w poselstwach Menandra, znajduje się o niéj wzmianka. Obozy ich tém się różnią od obozów Tatarów Astrachańskich, że każda rodzina obszerne miéjsce zajmuje.

Na obiedzie potrawy podawano w korytkach rozmaitéj wielkości: w największym, była ćwierć kobyliny, w innych baranina, ryż i kasza jaglana.

Po obiedzie wszyscy siedli na koń: zaczęły się wyścigi; miały nastąpić jeszcze szermierskie zapasy, ale nie widziałem ich, ponieważ musieliśmy odjechać.

Przed zachodem słońca przybyliśmy nad brzeg Achtuby, gdzie czekały nas wielblądy; dla przeniesienia na drugą stronę rzeki, osób znakomitszych z naszego towarzystwa. Inni musieli się

wpław przeprawiać. Już dosyć późno w nocy przybyliśmy do nowego obozu hordy; przejechaliśmy dnia tego więcéj pięciu mil niemieckich, co jest nie mało dla tego, kto ledwo powstał z choroby. Siedząc spokojnie zajmowałem się opisywaniem zdarzeń dziennych, kiedy Tiumen przyniósł swoje kolczugi żeby mi je pokazać. Każda z nich miała nadane sobie nazwisko, podobnie jak miecz Rolanda nazyzywał się *Durandalem*, a szabla Bolesława króla polskiego *Szczerbcem;* najznakomitsza zbroja Tiumena nazywa się *kitczyn-kilintuk* (koszula kitczyn chana.) Wiedzą o niéj wszyscy Tatarowie nawet w Kaukazie.

D. 22 sierpnia pojechałem do Dzid-Chadzi, zwanégo przez Rossjan saletrzaném miasteczkiem. Celem téj podróży było obejrzenie rozwalin budowli tatarskich; nadzieja zawiodła mnie zupełnie: widać już tylko ogromne kupy cegieł; niektóre z nich powleczone są z jednéj strony błękitną, zieloną lub białą polewą; dają się także postrzegać ostatki mozajki. Cztéry wieże stojące jeszcze, są z późniéjszych czasów: budowano je podobnie jak mury Astrachania, ze starych cegieł. Nowości ich dowodzi spojenie nikczemną gliną, nie mogącą iść w porównanie z tą, jakiéj używali Tatarowie; ramy u okien w nowszym smaku, i polewane dachówki mięszane z innemi. Zdaje się że Rossjanie chcieli kiedyś zrobić twierdzę, dla zasłonienia swojéj

żeglugi po Achtubie: na jednéj z wież trwa jeszcze drewniana budka.

Błędnie niektórzy podróżujący mówią o grotach sklepionych cegłą. Wyrazy: mogiła, kurhan, i bugor z cegieł, znaczą u Rossjan tylko rozwaliny, czyli kupy gruzów.

Między czterema wieżami wyżéj wspomnionemi, dają się postrzegać ostatki domów drewnianych bez dachów, drzwi i okien: mieszkańcami ich są węże i tarantuły. Jedna tylko uboga rodzina Rossyjska osiadła tu w nadziei prowadzenia niewielkiego handlu z narodami koczowniczemi. Nie rozumiem dla czego w miéjscu suchém i wyniosłém znajduje się tak wielka liczba wężów, że za każdym krokiem zdarza się je spotykać. Będący tu kałmucy i tatarzy dziwili się niezmiernie widokiem cudzoziemców. Wieczorem dowiedzieliśmy się o nowych mieszkańcach tych okolic, były to wilki. Wycie ich przerażało okropnie psów, jedyną załogą starożytnéj twierdzy. Nie radziłbym żadnemu hipokondrykowi zatrzymywać się długo wśród rozwalin Dzid-Hadzi: smutny widok gruzów i nędzarzy pomiędzy niemi szukających schronienia, pustynia stepu niepoścignionego wzrokiem, czynią to miejsce najokropniéjszém w świecie.

Na dni trzy jazdy w stronie północno zachodniéj od drogi, prowadzącéj do Dzid-Hadzi, wznosi się samotna góra pośród stepu. Rossjanie nazywają ją *Bogdo-Góra*, kałmucy *Uła-*

Bogdo; wyraz ten mongolski znaczy, święty, majestatyczny, wspaniały. Kiedy więc dwór petersburgski daje Cesarzowi Chińskiemu tytuł Bogdo-Chańskiéj Mości, nie należy przez to rozumieć Chana danego od nieba; w tym razie używa się starożytny wyraz, zapewne przyjęty w Rossji podczas panowania Mongołów nad Chinami. Wiele tu mówią o téj górze Bogdo: między innemi powieściami utrzymują, że na wierzchołku jéj mieszkający gienjusz kałmucki, strzeże aby nikt nie właził nad pewny stopień wysokości, i spycha w przepaść każdego, kto się ośmieli mu sprzeciwiać. Przedsięwzięcie tak szczególnego doświadczenia miałoby wielki powab dla mnie, ale ponieważ nocy już są chłodne, i dnie nie dosyć ciepłe, żeby się można wysuszyć zmokłemu na deszczu lub podczas przeprawy przez rzekę, bardziéj więc bojaźń powrotu febry, niż spotkania się z gienjuszem, niepozwalała mi szukać sławy, w zdobyciu napowietrznych państw jego.

D. 23 sierpnia powróciwszy do hordy dosyć póżno, widziałem liczne ceremonje przy ogłoszeniu przez gelongów postu, zwanego *Matreg*. Czerkiesowie przybyli wieczorem tańcowali przed nami. Nie dziwnego że taniec ich podobny jest do kozackiego, ponieważ te narody sąsiadują z sobą; ale jak się to dzieje, że taniec Norwegski z kozackim ma podobieńswo, tego wytłumaczyć nie umiem, chociaż sam przekonałem

się o tém w Kopenhadze. Zacząwszy mówić o narodach Kaukazkich, powinienem dodać, że wiele ich widziałem w Astrachaniu, a między innemi jedną xiężnę Czeczeńską, którą wojna zmusiła schronić się do tego miasta. Dosyć ona jest piękna, i ma dobre wychowanie w swoim sposobie; to jest: umie po turecku, tak, jak tym językiem w Persji mówią. Z resztą nie jest wolna od przesądów swego narodu. Nudzi ją pobyt w tym kraju, gdzie nie rozbijają zbrojną ręką po drogach; ukradziona wstążka droższą jest dla niéj nad kupiony sznur pereł. Chlubi się z tego, że od początku świata xiążęta jéj domu zawsze bawili się łupiestwem na drodze do Tyflis i Baki; byłaby w rozpaczy gdyby jéj krewni i przyjaciele dowiedzieli się że poszła za człowieka nieżyjącego z rozboju. Wszystko to co o niéj mówiono uważałem za przesadzone, ale Tiumen mnie upewnił, że tak jest w istocie, ponieważ sam nie raz w wyprawach odwiedzał ojczyznę téj kobiety. Od niego dowiedziałem się jeszcze, że kiedy który z tych xiążąt nie dość gorliwie zajmuje się szlachetném rzemiosłem łupieztwa po drogach, przechodzący mimo jego mieszkania układają w pewny kształt kupy kamieni, aby go okryć hańbą na całe życie. W powszechności, narody kaukazkie okazują dziwną mięszaninę niecywilizacji ze wspaniałomyślnością; obok kłamstwa, kradzieży, wiarołomstwa względem cudzoziemców, widać w

nich bohaterską pogardę życia, nienaruszone poszanowanie gościnności, i mocne uczucie przyjaźni.

Dziś 24 sierpnia, w całéj hordzie i u xiężny Nurdzany spełniano wielki obrządek religijny. Xiężna, trzymając na kolanach xięgę, złożoną z kart osobnych, rozdawała je obecnym, a ci śpiewali co było na nich napisane, jako pieśń pobożną. Po innych girach śpiewano także lub obracano kurdesy, pewny rodzaj klekotek. U lamajtów czynność ta służy za modlitwę.

Byłem na pożegnaniu u Lamy i rozmawiałem z nim o dworze *Gałdan-Cerengi*, gdzie prałat ten młodość przepędził. Mówił mi że podówczas ludność cztérech pokoleń kałmuckich składała się z 300,000 girów, czyli podług rachuby Rossjan 1,800,000 dusz. Nadto, Tatarów podległych Kontajsze w małéj Bucharji mogło być około 400,000. Tatarowie ci zupełnie podobni są do Astrachańskich; mieszkają po miastach i uprawiają ogrody. Gałdan - Cereng sprowadził ich wielu dla założenia ogrodów nad rzeką Jli. W tym kraju także jest góra *Bogdo - Uła*, któréj gelongowie pokłon oddają. Znajdują się około téj góry dzikie wielblądy, zupełnie podobne do domowych, z tą różnicą tylko, że garby mają nie tak wydatne. Złowione za młodu łatwo oswoić się dają; lecz ze staremi nic uczynić nie można.

Odwiedziłem po raz ostatni xiężnę Nurdzanę, piłem u niéj herbatę, nakoniec pożegnałem Tiumena i miłą jego rodzinę.

XVIII.

Anglja i Szkocja. — Przypomnienia z podróży w roku 1820-1824 odbytéj, *przez Krystyna* Lacha-Szyrmę; *z rysunkami litograficznemi. Tom* 1. *Warszawa. W drukarni Gałęzowskiego i komp*. 1828.

(*Dokończenie.*)

Przystępując autor do skréślenia obrazu obyczajów i zwyczajów szkockich, tak o nich w ogólności mówi: »Każdy naród ma swoje obyczaje, które w wiekach tworzą się i w wiekach przemijają. Dawne obyczaje szkockie uważano by na nasz wiek za zbyt ostre i surowe. Jeszcze wprawdzie zdarza się w niektórych staroświeckich domach, widziéć ich zabytki, lecz są to już gasnące przeszłości pochodnie, bardziéj dla dziejopisa niż dla podróżnika ciekawe. Teraźniéjsze obyczaje szkockie są poniekąd angielskie, jakie cała europa rada przejmować. Obraz ich najwyraźniéj maluje się w domowém życiu i zabawach, a zwłaszcza między majętne-

mi, bo ubóstwo trwa uporczywie przy dawném; majątek i próżność prowadzą do zmienności i naśladownictwa.»

Biesiady i zabawy Szkotów, mianowicie między klassą wyższą, połączone są z wystawnością, a niekiedy i przepychem. Pewna dalekość uważana jest za przystojność: śmiałość za brak wychowania i lekkomyślność. Przy stole zwyczaj jest przedzielać damy, a pierwszy kieliszek wina pije się za zdrowie sąsiadki.— Obiad dzieli się na trzy *dania* (courses), każde z kilku złożone potraw. W pierwszém dają supy i mięsiwa różne, oraz jarzyny, które zwykle są niedogotowane. Wiele jest takich potraw jak n. p. ryby, kartofle, które bez przyprawy żadnéj sucho dają na stół; bez ostatnich żaden obiad choćby najwystawniéjszy obejść się nie może. Drugie danie składa się z zwierzyny, ptastwa, pasztetów, serów, kremów, tortów, melszpajzu. W tém daniu znajduje się często ów sławny *Plum-pudding*. Trzecie danie jest tém czém u nas wety. — Co do trunków, te są rozmaite. Ubodzy piją *cienkusz* (small beer). *Table beer* (stołowe piwo) jest tém co nasze zwyczajne i używa się w najlepszych domach. Używają także *porteru*, *Ale* (piwo angielskie), oraz win *Madery*, *Sherry*, i *Port-wine*. Jest tam zwyczaj picia przy końcu obiadu, za zdrowie osoby którą się do tego wyzywa. Damy w końcu obiadu odchodzą do innych pokojów, a mężczy-

zni zostają u stołu, aby święcić Bachusowi i wznosić toasty. W rozmowach poobiednich panuje największa rozmaitość. Umiejętności, literatura, podróże, równie jak najpotoczniéjsze przedmioty dowcipnie opowiadane znajdują tam miéjsce. W domach *Torych*, mniéj rozprawiają, a więcéj się bawią; u Whigów jest za to więcéj nauki. »Obadwa jednakże stronnictwa mają największe uszanowanie dla zasad, i umieją je w samych przeciwnikach cenić, co jest niezaprzeczonym dowodem oświaty narodu, i stanowi najpiękniéjszą cechę charakteru Anglików. Zasady każdego człowieka są owocem długiego namysłu i doświadczenia. Obraza ich jest dotkliwą; tém dotkliwszą, że rana jest moralna. Im zatém naród jaki jest oświeceńszy, tém więcéj szanują w nim zasady. Dzicz nie ma zasad ani zdolna je ocenić.»

W godzinę lub półtory po wyjściu dam zapraszają na herbatę i mężczyzni łączą się wówczas z towarzystwem dam. Herbatę i kawę piją bez rumu i bez araku. Wychodząc z towarzystwa niema zwyczaju żegnania się z gospodarstwem.

O kobietach szkockich w następujący sposób mówi autor: »Dziewice kaledońskie mają w chodzie i postawie więcéj śmiałości od dziewic Albionu. Rysy ich twarzy nie tak regularne jak Angielek, lecz są wyrazistsze i bardziéj ożywione. Kibić wysmukła, cokolwiek męzka, chód za szeroki, co ujmuje im tego wdzięku którym

Francuzki tak korzystnie się odznaczają. W ogólności podobne one bardziéj do poważnych Junon lub śmiałych Dyan, niż do zdrobniałych z lekkim krokiem Heb. Nogi też ich, jak u posągów tych bogiń, są za spore, do czego może przyczynia się zbyt grube obuwie, jakie z przyczyny wilgotnego klimatu nosić muszą. Cera ich jest bardziéj czerstwa niż delikatna, zgadza się dobrze z oczami, które jak u Polek są ciemne, albo wielkie siwe: ostatnie miane tam za rozsądne, — za oczy Minerwy. Są też między niemi mądre, co uczą się po łacinie i po grecku. Język francuzki znają prawie wszystkie, i więcéj nim mówią niż Angielki; lecz pospolicie przestają na rozumieniu go; dzieł francuzkich nie lubią czytać, poczytując zasady ich za niezgodne z narodowym swym charakterem i sposobem myślenia. Swoją literaturę znają doskonale: uczą się wiele wierszy, niektóre je piszą. Kobiety literatki nazywane są *blue stockings* (niebieskie pończochy): znajdowała się tam wtedy jedna Pani Grant i Baillie autorka kilku tragedji. Panienki znają rysunki, muzykę, lubią śpiewać, mało tańcują: nie wychodząc nigdzie do lat 17, i nie siadając nawet do stołu kiedy są goście, mało potém pozostaje im czasu do popisywania się z takim talentem, a mężatki tam już nie tańcują. Obeznane są także z robotkami, osobliwie haftowaniem, lecz i tém mało się trudnią, gdyż wszystko rękodziel-

nie taniéj dostarczają. Najgruntowniéj edukowane są córki adwokatów, notarjuszów i w całéj klassie średniéj. Ta klassa najwięcéj wydaje talentów i w niéj najlepiéj umieją je cenić. Dopóki są pannami mają wiele wolności, bywają na wieczorach, wyjeżdzają konno na spacer, wychodzą z przyjaciołkami na miasto, a czasem nawet same jedne bez lokaja. W Edinburgu ledwie znają co to jest chodzić z lokajem za sobą; idą w tém za zdaniem Goldsmitha, że cnota strzeżona ledwo warta strzeżenia. W towarzystwie z rodzicami córki wydają się bardziéj jako przyjaciołki niż dzieci, więcéj między niemi poważania i szacunku niż uszanowania. Jak wyjdą za mąż przywiązują się do domu, są gospodarne i najskromniéjsze żony.»

W obcowaniu między towarzystwem panuje największa prostota, w rozmowie delikatność bez przysady. Nieznane są tam niskie ukłony, albo próżne i poniżające wyrazy, jak *całowanie nóg*, *padanie do nóg* i t. p. Nie ma tam powierzchownéj grzeczności, ale jest za to istotna. Kapelusza nie zdejmuje się, ani przed wyższemi ani przed równemi, a nawet służący oddając uszanowanie panu, dotyka tylko kapelusza ręką, jak żołnierz słuchający rozkazów. Przy spotkaniu się ze znajomym, lekkie skinienie głowy lub ręki bywa dostatecznym ukłonem, poufałemu podaje się rękę. W rozmowie używają do szlachty lub urzędników wyrazu *Milord* do innych osób prócz

duków i xiążąt, *Sir* (Panie); do kobiet zaś *My-Lady* albo *madam*. *W* poufałéj rozmowie opuszczają się zwykle wszelkie tytuły, które zastępuje proste *wy* (you).

Wyraz *Gentleman*, ma obszerne znaczenie, i każdy, sam król nawet stara się nań zasłużyć. Znaczenie jego możnaby znaleść w opisaniu *Dworzanina*, jakie nam Górnicki w dziele swoim podaje. We wszystkich czynnościach panuje tam porządek wzorowy, i wszystko nim jest nacechowane. Usługa w domach angielskich odbywa się za pomocą dziewcząt, lokajów zaś tylko w najbogatszych domach używają. Od ostatnich ustanowiony jest podatek dla rządu, tym celem iżby mężczyzni pożyteczniéj dla kraju użyci byli, aniżeli do usług nie wiele sił wymagających. Wszędzie więc prawie do domowéj usługi i na kucharki biorą dziewczęta.

Klima Edinburga jest umiarkowane chociaż leży on prawie pod jednym stopniem z Rygą. Powietrze tak jak we wszystkich miastach nadmorskich sprzyja zdrowiu mieszkańców; nie znają tam chorób miéjscowych, a wiele dawniéjszych przez skuteczne środki wykorzenione zostały.

Między porami roku są małe różnice, a zmiany powietrza są bardzo częste. Wiosna bywa przykra, a lato w lipcu się zaczyna. W zimie mróz do 10 stopni dochodzi.

Ludność Edinburga w r. 1821 wynosiła 138,235 mieszkańców płci obojéj, między któremi o 14,038 było więcéj kobiet niż męczyzn. Szkotki są nadzwyczaj płodne i często w rodzinie widzieć można 10 i 15 dzieci. Ludność z tego powodu często się przesila.

Handel tego miasta jest dosyć rozległy. Wywożą płótno, muśliny, kobierce, szkło, papier, a wprowadzają: towary kolonjalne, herbatę, cukier i t. d. »Z Rossji i Polski sprowadzają len, konopie, belki, futra. Polski owies i polski krochmal uchodzą za najlepsze, i chociaż pierwszy od dawna w Szkocji rośnie, a drugi także tam robiony, zowią je przecie polskiemi: *Polish oats*, *Polish starch*. Obfituje Szkocja w zwierzynę, ptastwo i ryby, a z ostatnich szledzie są ważnym artykułem handlu i dochodu krajowego. Ostrygi szkockie są większe od francuzkich Między specjały stołu liczą morskie skorupiaki, od których jednakże smaczniejsze być mają podług autora nasze raki.

Jle rozmaite są przysmaki bogatszych, tyle tam niewykwintną jest strawa ubogiego. Dawniéj chleb pospólstwa był z jęczmienia, podléjszéj mąki pszennéj lub z owsa; ostatniego w formie placków używają dotąd górale. Po miastach używany jest jeden chleb pszenny. Zwyczajną strawą wyrobnika szkockiego jest prażucha z owsianéj mąki, nabiał, kartofle i supa nakształt rumfordzkiéj, rzadko zaś mięso. Ulubiony tru-

nek pospólstwa nazywa się *Ale*, a do upajających należy *Whisky*, prosta gorzałka od naszéj mocniéjsza, pędzona z jęczmienia. Za opał służą jedynie węgle kamienne, których najznaczniéjsze kopalnie znajdują się w okolicach Glasgowa i Hamiltonu.

Lubo charakter Szkotów jest w ogólności mniéj posępny i ociężały jak Anglików, pospólstwo szkockie wszelako mało ma hucznych zabaw, i żadnych świąt, oprócz niedziel nie obchodzi. Pracowitość jest cechą charakterystyczną Szkotów, a ta obdarza ich licznemi moralnemi przymiotami. Najweselszym dniem dla szkockiego ludu jest dzień *Nowego roku*, w którym i najwstrzemięźliwszy nawet upić się musi, choćby ten raz jeden w roku. Między narodowemi rozrywkami Szkotów jest gra zwana *Golf*, czyli popędzanie kuli dwiema pałeczkami, na łąkach zwanych *Links* pod miastem odbywająca się. Slizganie na łyżwach jest bardzo używane, równie jak taczanie kamieni po lodzie. Gry te mają każda osobny swój klub; członkami klubu gry ostatniéj są xięża.

Kąpiele morskie są również upodobaną Szkotów rozrywką, która razem i dla zdrowia pomocą się staje. W wiosce *Restalrig*, gdzie autor kąpieli morskich używał, stał w ówczas półk dragonów zwanych *Siwoszami szkockiemi* od siwych koni na których jeżdzą. »Jeden z wyższych officjerów tego garnizonu, mówi autor,

chlubił się, że znał osobiście Xięcia Poniatowskiego, mawiał że w Hiszpanji chorągiewki ułanów polskich ich jezdzie do żywego dopiekały, i nazywał za to ułanów: *Damned Fellows* (pickielne duchy). W mustrze na piki, zachęcał czasami żołnierzy, żeby robili *á la Poniatowski*. Nad ten manewr nie znał nic doskonalszego.»

Mieszkańcy Edinburga w dni niedzielne po skończonem nabożeństwie, udają się w większéj części na przechadzki, a mianowicie na *Arthur's Seat* i *Calton-Hill*, z kąd największa rozmaitość widoków. Park królewski trzy mile ang. rozległy, ma ten przywiléj, iż zbiegli dłużnicy, nie mogą tam być chwytani, niektórzy więc po kilka lat tam przesiadują, a ponieważ działalność komorników zawieszona jest w niedziele, w te dni zatém swobodnie odwiedzają krewnych lub przyjacioł. W południowych okolicach Edinburga panuje największa samotność. Tam leżą wiejskie domy majętniéjszych kupców i innych osób.

Z Edinburga udał się autor na zwiedzenie prowincji, i oglądał piękne miasteczka *Dalkeith*, o półtory mili naszéj od Edinburga leżące, *Roslin*, gdzie kaplica i zamek starożytny. Miasteczko to stoi na półwyspie rzeką *Esk* ze trzech stron oblanéj.

Przykro nam jest iż szczupłość miéjsca nie dozwala umieścić wszystkich opisów okolic i miast przez autora zwiedzonych, które w zajmujący sposób i z trafnemi odmalował uwagami. Przytoczymy tu obraz wyścigów konnych, jaki autor zamieszcza z powodu wyścigów jakich w *Dumfries* był świadkiem. »Odbywają się one prawie w każdém hrabstwie raz na rok. Głównym ich celem jest poprawa chowu koni, i im to szczególniéj winniśmy ową piękną i tak pokupną rasę koni angielskich. Najznaczniéjsze wyścigi odbywają się w *Duncastle* dla północnéj Anglji, a w *Newmarket* dla południowéj. Sławne są także w *Ascot-Heath* pod Londynem: wszelako nie tyle dla mnóstwa i dobroci koni, ile dla rozmaitych przypadków, kradzieży i roztratowań, które tam w natłoku pospólstwa londyńskiego zdarzać się zwykły, a potém ogłaszane przez gazety bawią publiczność angielską. Nagrody dla wygrywających koni są znaczne, od 50 do 2,000 f. s. przeznaczane bywają od różnych towarzystw i klubów, powiększane nadto dobrowolnemi składkami. Rodzaj i wartość tych nagród ogłaszana bywa poprzednio przez afisze, a po wygranéj w gazetach. Oprócz tego, wyścigi dają jeszcze pochop do ulubionych temu narodowi zakładów za jednym lub drugim koniem. Zakłady takowe robią się zwykle między kilką osobami, i dochodzą często do ogromnych summ. Konie do wyścigów u-

żywane, powiększéj części są Arabskiéj rassy, chowane z wielką starannością. Każdy koń mający się pokazać na wyścigach, ma swoje nazwisko, pod którém ogłaszają go w gazetach, a między niemi są czasem szczególne. W tenczas nazwiska ich były *Monreith*, *Abc i Fair Helen* (piękna Helena). Plac przeznaczony na gonitwy jest pospolicie czworograniasty; odgradza się na nim miéjsce na przegony i tamtędy przechodzić nie wolno. Jeden przegon, który oni nazywają kursem, nie jest dłuższy nad dwie najwięcéj trzy mil angielskich. Wyścigi zaczynają się zazwyczaj o 2 i trwaią do 5, w którym przeciągu czasu nie odbywa się więcéj nad cztéry lub pięć kursów: resztę czasu zabierają potrzebne do nich przygotowania i zakłady. Przed zaczęciem ważą konie i masztalerza (Jockey); gdzie mniéjszy okaże się cię-żar, na zrównanie go kładą lżéjszemu masztalerzowi kamieni do kieszeni. Trąbka daje hasło kiedy konie z miéjsca ruszyć mają. Z początku nie pozwalają biedz prędko, żeby ich nie przesilić; biegną więc z wolna, jakby dla zabawy, późniéj puszczają je z wzrastającą szybkością, a dobiegając do mety, pędzą na zabój, używając ostróg i bicza. Wtedy to trzeba widziéć rozjuszenie i rozpacz na twarzach masztalerzy, których konie się opóźniają! wtedy to słyszéć głośne okrzyki ludu dla zwycięzkiego rumaka! Nie raz koń, który zostawał

w tyle, odnosił zwycięztwo, jedynie dla tego, że z początku nie był przesilony: od zręczności masztalerza wiele w tym razie zawisło, który powinien wiedzieć jak użyć siły swego konia. Koń przegrywający, choćby najlepszy, smutnego często doznaje losu; zdarza się że właściciel na miéjscu w łeb mu wypala. Koniom jak dobiegną do mety, wlewają rumu do pyska dla ożywienia, i nim puszczą ich znowu w przegony, pozwalają dobrą chwilę wypocząć. Na masztalerzy dobiérają ludzi niskiego wzrostu, szczupłych i lekkich. Jak dla koni tak i dla nich przepisana jest djeta, któréj ściśle przestrzegać są obowiązani. Przyjeżdżają więc na wyścigi tak wybladli jak trupy. Dzień ten czyni ich tak niespokojnymi, że ujmują sobie snu, jadła, napoju, aby zachować się przy trzeźwych zmysłach, jak aktorowie przed wystąpieniem w ważnéj roli.»

W inném miéjscu wzmiankuje autor o wiosce Gretna Green nad zatoką *Solway* leżąca, w któréj daje ślub kowal miéjscowy, a w jego nieobecności pierwszy kto się nadarzy. Samo proste zeznanie kochanków przy świadkach. »On jest mój mąż.» — »Ona moja żona» dostateczne są do ślubu, który jest niemniéj ważny i nieodwołalny, jak gdyby go poprzedziła intercyza, i jak gdyby był przez kapłana dany. »Ściśléjsze w tym względzie są prawa angielskie; anglicy przeto starają się ich unikać, wchodząc

w związki małżeńskie w Szkocji. Rząd i opinja nie tamują nadużyć z potajemnych zaślubin w Gretna-Green wynikających, na dowód czego może służyć to, iż od przyjazdu z Anglji do Gretna Green na dzień drogi rogatki stoją otwarte, aby niewstrzymywać przejazdu kochanków których całe bezpieczeństwo zależy na pośpiechu; a poborcy drogowego posyłają za niemi aż na miejsce po należność.»

W Dumfries dokonał życia i pochowany jest sławny poeta włościanin *Burns*. Płody jego częścią w angielskim częścią w szkockim dyalekcie pisane są w pamięci ludu szkockiego; śpiewane bywają w ubogich chatkach równie jak po ulicach stolicy, i rozweselają biesiady możnych. Poeta ten żył i umarł w ubóstwie, albo raczéj w nędzy, i po śmierci dopiero odbiera cześć od ziomków mu należną. Wspaniały pomnik w kształcie rotundy zdobi grób jego.

»Na tym samym cmentarzu, mówi autor, gdzie ten Bard wiejski spoczywa, ktożby uwierzył, że znajduje się pomnik zajmujący w szczególności czułość Polaka?... Wszelako tak jest w istocie.— Bawili w Dumfries przez całe półtora roku Polacy, w Hiszpanji zabrani do niewoli. Należeli do 2 pułku nadwiślańskiego. Zaprowadzeni do Szkocji i tam puszczeni na parol, obrali byli Dumfries za miejsce swego pobytu. Nazwiska tych Polaków, ile z zepsutego wymawiania mieszczan wyrozumieć mogłem, były:

Łaszewski Ferdynand, Grabiński Seweryn, Sosnecki Jakób, Regulski Ignacy, Radkiewicz Andrzéj, Strażyński, Dobrzycki, Radłowski i Stokowski. W jednym z nich zakochała się była córka tamecznego kupca, on w niéj nawzajem. Rodzice nie byli przeciwni wzajemności ich uczuć, i w nadziei przyszłego związku, uczyła się po francuzku i po polsku. Zawarcie pokoiu między mocarstwami europejskiemi miało położyć koniec niewoli brańców, i wrócić każdego swéj ojczyznie. Zbliżająca się chwilą rozstania, chociaż miała być doczasową, coraz mocniéj cię-żyła na czułém sercu kochanki. Do téj czułości łącząc z przyrodzenia zdrowie delikatne, nie mogła przeżyć rozstania,— umarła z żalu; a stroskany kochanek położył jéj tę słowa na nagrobek. Zdjąłem je własną ręką z grobowca.

»Anna Grieve Daughter of James Grieve, Merchant in Dumfries, who died the 11th of December 1823, aged 19 years. (*)

EPITAPH.

Ta main bienfaisante et chérie
D'un exilé vint essuyer les pleurs :
Tu me tins lieu de Parens, de Patrie;
Et le même tombeau, lorsque tu m'es ravie,
Renferme nos deux coeurs.

(*) Anna Grieve, córka Jakóba Grieve Negocjanta w Dumfries, umarła dnia 11 Grudnia 1823 w 19 roku życia.

Kilka osób jednozgodnie powiadało mi o tém smutném zdarzeniu. Sam nagrobek, który pomiędzy tylu innemi był jeden w obcym języku, zdawał się to poświadczać. O naszym ziomku mówili, że nosił po niéj żałobę i widywano go u mogiły.

Kiedym był w Dumfries, już było ośm lat minęło od czasu jak Polacy tam bawili: jednak pamięć ich pobytu nie zgasła w mieszkańcach. Dowiedziawszy się, nie wiadomo jakim sposobem, żem był Polakiem, przyszło ich kilku do mnie z zapytaniem, czyli mi który ze wspomnionych jeńców nie był znany? Nic mogłem im zadosyć uczynić, bom nie znał żadnego. Powiadali mi tedy, że niektórzy w ich domach doznawali gościnnego przyjęcia, i uważani byli prawie za członków ich rodzin. — Wspominali o podarunkach zostawionych im przy pożegnaniu, które acz drobne i mało znaczące, chowane były jako drogie upominki. Były one w większéj części własnéj ich roboty, którą sobie czas niewoli skracali. Jedną taką pracę sam widziałem: był to niedokończony jeszcze, lecz piękny rysunek Wirginji, z którego można było wnosić, iż rysownik znał się na swéj sztuce. Widząc mieszkańcy, że każdy o nich szczegół mnie interesował, opisywali prawie każdego postawę, wzrost, cerę, włosy, jak gdyby mnie chcieli za niemi w pogoń wysłać. Przytaczali niektórych dowcipne odpowiedzi i żarty, nie

mogli się dość nachwalić przyjemności ich społeczeństwa, dodaiąc, że w myśleniu i postępowaniu byli prawdziwemi *Gentlemen*. Cieszyło mnie, gdym słyszał w tak dalekim kraju tyle na zaszczyt rodaków, i że nie jedno szczęście, lecz i niedola ma u ludzi trwałą pamięć. Jakoż w saméj rzeczy, mieszkańcy tameczni tak byli dla nich uprzejmi, że przypuszczali ich do swego towarzystwa, nawet zasilali w niedostatku kredytem. Znałem rodzinę, która z własném niebezpieczeństwem dopomagała jednemu z nich do ucieczki z niewoli.

Czytelnicy nie wezmą nam zapewne za złe, iż wiadomość o dziele tak ważném, tak zajmującém, w trzech aż numerach Pamiętnika naszego umieściliśmy. Jakkolwiek ona obszerną zdawać się może, nie można było wszelako treścią nawet objąć tego wszystkiego co w pracy P. Lach-Szyrmy naucza lub rozrywa, zawsze jednakowo, zawsze mocno zajmując czytającego. Gdybyśmy byli chcieli wyjąć wszystko co jest w niéj wyjęcia godném, w całości prawie przedrukować by ją trzeba było.

XIV.

Monaster Meteora w Tessalji.

(z podróży Doktora Holland).

Na długi czas przed przybyciem do miasta *Kalabaka* albo *Stagi* (Stagos u autorów by-

zanckich), postrzegliśmy w oddaleniu skały *Meteory*, które okolicom miéjsca tego szczególniéjszą nadają postać. Widać je z wielkiéj odległości spuszczając się doliną którą rzeka Salympria przerzyna. O milę od téj rzeki, wznoszą się one w odosobnionéj massie, przedstawiającéj ostrokręgi albo rodzaj bardzo wyniosłych słupów, między któremi są tak prostopadłe, iżby je można wziąść raczéj za mury ręką ludzką stawione jak za dzieło natury. Oddalające je przestwory, które tysiącznemi znaczą się zagięciami, zacienia zieloność rozłożystych drzew, których ciemna barwa, tworzy sprzeczność z blaskiem tych mass ogromnych, co zdają się wisiéć w powietrzu. — Słońce już zaszło, ale ostatnie jego promienie pozłacały jeszcze tych skał wierzchołki, równie jak szczyty wielu greckich monasterów, które położeniem swojém od świata całego oddzielone się być wydawały. Na widok ich doznajemy z razu pewnego złudzenia, przywodząc w myśli moralny cel tych pobożnych zakładów; a wyobraźnia przedstawia sobie religję czystszą i szczytniéjszą pośród wspaniałych scen natury; lecz aby się przekonać iż to jest tylko złudzenie, dosyć jest przebiedz dzieje tych miéjsc ustronnych, a ukażą nam się w nich też same namiętności, też same błędy co pośród miast zamętu i wrzawy.

Najbardziéj uderzający widok *Meteory* jest od strony północno-zachodniéj. Postępując więcéj prawie jak milę wązką ścieszką po urwistych szczytach wielu odosobnionych mass skalnych, weszliśmy do jednéj z głębokich dolin, albo raczéj parowów, które wiodą pomiędzy grupy skał, przerzynając las pośrednie przestwory zapełniający. Z każdéj strony mieliśmy skały, jedne ostrokręgowéj postaci, drugie tworzące proste, nadwyczajnie wysokie i cienkie słupy, inne znowu romboidy albo sześciany prostopadłego spadku z poziomemi szczytami. Przez wyraz *massa*, nie należy rozumiéć prostych odłamów skalnych, ale górę samą rozpadniętą i tym dziwnym sposobem przedzieloną; fenomen ten pochodzi zapewne z połączonych skutków trzęsień ziemi i ciągłych zmian nieustannie na powierzchni kuli ziemskiéj odbywających się. Wysokość tych skał odosobnionych rozmaicie się zmienia; większa ich część ma przeszło sto stóp nad poziom Salymprji, a niektóre do 200 i 300 stóp się wznoszą: skała o któréj mówimy zdawała się miéć nawet przeszło pięćset stóp wysokości.

Monastery greckie na Meteorze leżą jedne na cyplach skał, inne w zaklęsłościach, które tam natura lub sztuka zdziałały; pierwsze, częstokroć niedostępnemi się być zdające, tak są zbudowane, iżby można mniemać że mury ich stanowią jedną massę ze skałami, które tworzą pro-

stopadłą przepaść aż do stóp lasów parowy zalegających. Tylko za pomocą lin, sznurów lub drabin na wystających skał odłamkach przymocowanych dostać się można do tych monasterów. Takim jest ten który nazwano *Meteora*, dla tego że jest najrozleglejszy. Widać na prawo tego inny znowu, który niemniéj jest ciekawym z położenia swego w wysokości stóp 120, a którego szczyt tak ma szczupłą powierzchnię, iż mury budowli zdają się być tylko przedłużeniem prostopadłych ścian skały.

Powiadają, iż na tych skałach Meteory było niegdyś dwadzieścia cztery monasterów; dziesięć tylko dzisiaj istnieje, a siedem jest zamieszkanych.

Jeden z nich, któryśmy zwiedzić mieli, zwany *Aios Stephanos*, jest mianowicie uwagi godnym. Aby się dostać do stóp szczytu na którym jest zbudowany, a który ma przeszło 180 stóp wysokości, dążyliśmy urwistą i wązką ścieszką, którą zacieniały starożytne drzewa, przeplatające gałęziami swemi urwiska dwóch wzniosłych opok, przedzielonych 20 do 30 stóp szerokim parowem. Przybywszy do spodka prostopadłéj skał massy, postrzegliśmy gmach monasteru; zdawał on się być zawieszony nad głowami naszemi. Lina przechodząca przez blok do pewnego rodzaju szopy przymocowany, aż na sam dół spadała. Tatar nasz postrzegłszy na górze patrzącego się na nas człowieka, pro-

sił aby nas wciągnął na górę. Zakonnicy znajdowali się w kaplicy, i więcéj niż 10 minut upłynęło nim otrzymaliśmy od nich odpowiedź. Postrzegliśmy nakonicc spuszczającą się grubszą linę, w końcu któréj znajdowała się siatka. Tatar nasz i wieśniak, któregośmy z sobą w Kalabaka wzięli, rozwinęli ją i rozpostarli na spodzie albańską opończę, na któréj wraz z przyjacielem moim usiadłem. W czasie ciągnienia w górę, ściągnęliśmy przez własny ciężar siatkę, która nas tak ścisnęła, iż ani ręką ani nogą nie mogliśmy ruszyć; blok u góry dosyć oddalony był od skały, iżbyśmy jéj mieli się dotykać ale wyciągnienie nasze w górę było bardziéj przerażające aniżeli z kopalni, któréj dna postrzedz nie można. W przeciągu trzech minut niespełna przebyliśmy 150 stóp wysokości oddzielającéj nas od mnichów, którzy nas z siatki wydostali. Służący nasz dostał się mniéj wygodnie i z większą trudnością na górę po drabinkach znajdujących się w kommunikacji podziemnéj.

Zakonnicy przyjęli nas nader uprzejmie. Przepędziliśmy godzinę przeszło pomiędzy niemi. Zabudowania rozrzucone są na szczycie skały. Wszystkich xięży znajdowało się pięciu, oraz kilku służących. Powierzchowność ich okazywała nędzę, a umysł ich bardzo się zdawał ograniczony.

ROZMAITOŚCI.

Los żeglarza La Pérouse.

Wiadomo, że w skutku rapportu pewnego kapitana, któremu w przeprawie z Valparaiso do Kalkuty, zdawało się iż znalazł ślady żeglugi La Pérouse, towarzystwo azjatyckie wyjednało sobie wysłanie jednego okrętu na wynalezienie nieszczęśliwego tego żeglarza lub tych coby z jego osady zostawali jeszcze przy życiu. W jednym z Dzienników Dublińskich umieszczono co następuje:

»Otrzymano nakoniec pewne wiadomości o losie Kapitana La Pérouse. P. William Betham udzielił nam wyjątek następujący z listu który odebrał w tym przedmiocie od P. John Russel synowca swego, z Zelandji 7 Listopada 1827 pisanego na pokładzie okrętu kompanji Indji wschodnich *La Recherche.*

»Kochany P. William. Przyjemno mi jest donieść WPanu o przybyciu naszém tutaj, po szczęśliwéj żegludze przedsiewziętéj celem zapewnienia się o losie La Perouse i jego okrętów. Rozbiły się one obadwa o rafę na wysokości wyspy Mallicolo, leżącéj między 16° 40' szer. połud. a 167 dług wsch. Jeden z okrętów zatonął na pełném morzu, po dotknięciu się rafy, i wszyscy ludzie na nim będący znaleźli śmierć w bałwanach. Drugi okręt rozbił się o rafę; ludzie jednak ocaleli i potrafili tyle uratować materjałów drewnianych i innych, iż sobie zbudowali mały okręcik w miéjscu zwaném *Paiou*, gdzie wielu z nich poległo z rąk krajowców; inni zdołali dokończyć budowy okrętu, na którym opuścili wszyscy wyspę, w pięć miesięcy po rozbiciu. Dwóch tylko na wyspie pozostało: jeden z nich umarł we trzy lata późniéj, drugi opuścił wyspę na czółnie i los jego jest niewiadomy. Najpodobniéjszą jest, iż musiał zginąć, ponieważ szu-

kaliśmy na wszystkich przyległych wyspach śladów jego i nic w tym względzie nie mogliśmy odkryć.

»Otrzymaliśmy najpewniéjsze dowody, że okręty te były francuzkie, i że miały z sobą wiele pieniędzy złotych i srebrnych z herbem lilji, oraz dzwon duży z napisem wielkiemi literami: *Bazin mnie zrobił.* (*) Znajdował się tam również inny dzwon z herbem francuzkim a jedna część przedniéj sztaby miała na sobie wielką lilję złoconą.

»Znaleźliśmy również kawałek posrebrzanego lichtarza, na którym wyryte były herby, które oczywiście należały do familji francuzkiéj.

Nowa wyprawa lądowa Kapitana Franklina.

Kapitan Franklin sposobi się do trzeciéj wyprawy dla uzupełnienia rozpoznania brzegów Ameryki północnéj, od punktu do którego doszedł w ostatniéj podróży swojéj, aż do miéjsca w którym go oczekiwał kapitan Beechey.

Smierć Pana Salt.

P. Henryk Salt konsul jeneralny angielski w Egipcie, umarł dnia 30 Października 1827, w wiosce między Kairem i Alexandrją. W ciągu długiego pobytu swego w Egipcie, okazywał on ciągle najżarliwsze przywiązanie do nauk i umiejętności, których postęp był starań jego celem Zachował od zniszczenia lub z zapomnienia wydobył znaczną liczbę ważnych zabytków starożytności, i zachęcał prace podróżujących. Wsławił on imie swoje pomiędzy nimi opisaniem Abissynji.

Odkrycie starożytnych monet w Azji.

Mieszkaniec pewien wioski *Mezketa*, niegdyś stolicy królów Georgijskich, przysposabiając pole do za-

---

(*) Przed rewolucją znajdował się w mieście Nantes we Francji tego nazwiska rzemieślnik lejący dzwony.

siewu, znalazł kruszące się w kawałki małe naczynie, które zawierało pieniądze srebrne. Niektóre z nich zachowały swój stempel i uznane zostały za należące do dynastji Sassanidów, i bite na 800 lat przed J. Chr.

Pomnik grobowy niedaleko Smyrny.

Pomnik ten leży obok góry *Syphylus*, o trzy mile angielskie na północ od Smyrny. Składa on się z sztuk kamieni 12 do 14 stóp wysokich, w środku których znajduje się sklepiona izba 9 stóp długa. Żaden kamien nie ma na sobie śladu dłuta; żaden marmur nie zdobi tego starożytnego grobu. Tam to od lat 2,800 spoczywają może popioły jakiego naczelnika zgromadzenia pasterzy, którzy paśli trzody na górze Syphylus.

(*Ann. des Voy*)

NOWE DZIEŁA.

Bibliothéque universelle des Voyages par Mr Jules Dufray 10. Vol in 18 Paris. 1820 Dzieło to nader zajmujące zawiéra skrócenie historji podróży Laharpa. Ile wiadomo Redakcji, dzieło powyższe przełożone zostało na język polski, a pierwszych dwóch tomow obéjmujących Afrykę w krótce druk ma się rozpocząć. Umieszczamy tu nadesłane do Redakcji wyjątki z przekładu tego. — W Rozdziale VIII. pomiędzy innemi zwyczajami mieszkańców Kachao sławny wędrownik Brue tak opisuje tamtéjszych tak zwanych *Awanturników nocnych.*

„Nie można, mówi on, wyjść w nocy w Kachao bez narażenia się na niebezpieczeństwo. Awanturnicy ci noszą na sukni mały fartuch skó-

rzany z bawełem, pokrywającym pewien rodzaj kirysu; fartuch ten ma wiele dziur do których przyczepione są dwie lub trzy pary krucic i kilka sztyletów. Na lewéj ręce noszą małą tarczę, z pod któréj wisi długa szpada: pochwa jéj za pomocą sprężyny sama się otwiera w mgnieniu oka dla oszczędzenia czasu na jej wydobywanie. Kiedy wychodzą bez zamysłu jedynie dla rozrywki, cały ten ubiór zakrywają czarnym płaszczem. Gdy zaś zamierzaią sobie odbyć u nich tak zwany pojedynek, po portugalsku, biorą jeszcze kruciuchny karabinek, nabity 20 lub 30 kulkami i ćwiercią funta prochu, oraz kij rosochaty na którym kładą ten karabinek. Broń ta tak rozrzuca kule, iżby niemi okryć można największą bramę. Dla uzupełnienia téj szczególnéj maskarady mają na nosie ogromną parę okularów z obu stron przymocowanych do uszu. W odwiedzinach oddawanych Portugalczykom, trzeba się strzedz pragnąc widzieć ich żony, a nawet dowiadywać się o ich zdrowie, gdyż było by to już témsamém wystawić się na podobny pojedynek.

»Tenże sam Brue tak opisuje Maurów: Maurowie z okolic Argium i Senegalu zachowali święcie zwyczaje swych przodków; koczują na otwartém polu; namioty ich i chaty mają kształt głowy cukru; pierwsze robione są zwykle z płótna grubego, z sierci wielbłądziéj i koziéj, tak dobrze utkanego, iż rzadko się zdarza aby pomimo wielkich i długich deszczów woda się przez nie przedrzéć mogła. Płótna te są roboty ich żon, które przędą sierć i wełnę i za młodu są przyuczane do téj pracy; nadto należą do nich wszystkie roboty domowe, a nawet karmienie koni. Mimo tego poddaństwa w którém mężowie żony swoje utrzymują, jednak je kochają i nigdy się z niemi źle nie obchodzą. Za wykroczenia wypędzają je z domu, a krewni występnéj karzą ją za hańbę którą całą swoję rodzinę okryła.

Z resztą mają sobie za powinność przyzwoicie żony swoje utrzymywać, i nic im nie odmawiają co służy do ich ozdoby. — Żony nigdy nie wychodzą bez długiéj zasłony, która im zakrywa całą twarz i ręce. Europejczykowie nie są jeszcze z tym narodem tak zpoufaleni, aby mogli otrzymać pozwolenie widziéć je odsłonięte. — Mężczyzni i dzieci mają w ogólności wzrost i twarz piękną, lecz nie są bardzo wysocy. Rysy ich są regularne; cera ogorzała pochodzi z upałów słonecznych, na które są wystawieni. — Jeżli na piękności cery zbywa także ich kobietom, wynagradzają to one korzystnie swoją rostropnością, skromnością i wiernością małżeńską; nie tylko że same nigdy nie wychodzą, ale jest jeszcze zwyczajem mężczyzn odwracać się za spotkaniem kobiety. Wzajemnie wszyscy czuwają nad swemi żonami i córkami.— Maur który jest tak ubogi iż ma tylko jeden namiot, woli raczéj przyjąć odwiedziny przederzwiami onego, a nawet najbliższych krewnych, jak wpuścić ich wewnątrz mieszkania; ten przywiléj mają tylko ich konie lub raczéj klacze, które oni przenoszą nad ogierów, gdyż oprócz że mają z nich zrebięta, uważają je za łagodniejsze, żywsze i wytrzymalsze. Legają one w namiotach pomieszane z ich żonami i dziećmi; nigdy nie są za szyje przywiązane, ale za nogi: wyciągają się na ziemi i służą dzieciom za poduszki, nie czyniąc onym nic złego: radują się gdy widzą iż je całują i ściskają; rozróżniają tych co się z niemi najlepiéj obchodzą, i gdy są wolne biegają za niemi. Właściciele starannie zachowują ich genealogię i nigdy onych nie sprzedają nie wyliczywszy przymiotów ich przodków, co znacznie zwiększa ich wartość. Zwyczajem jest Maurów nie kuć ich wcale. Żywią one w nocy prosem i trawą nieco ususzoną; na wiosnę zaś wypuszczają je na paszę, nie używając przez miesiąc.»

W czasie podróży, żony mieszczą w koszach zawieszonych na grzbietach wołów i wielbłądów; nie znają innych napojów nad wodę i mleko; chleb ich robiony jest z mąki i prosa, chociaż mają pszenicę i jęczmień, które składają w głębokich studniach wykutych w skałach lub ziemi. Te doły są coraz obszerniejsze, stosownie do swéj głębokości, która czasem do 30 stóp dochodzi. Zowią się one *Matamors;* spód i boki ich są wyłożone słomą. Maurowie napełniają je zbożem aż do samego otworu, ktory nakrywszy drzewem i słomą nakładają warstwą ziemi, na któréj sieją i uprawiają inne zboże. Często używają za pokarm ryżu. Czyszczą zboże nim go wezmą do mielenia między dwoma kamieniami, dla zrobienia mąki. Chleb pieką pod popiołem i zwyczaj mają jeść go gdy jest gorący. — Nie mając łyżek zastępują one palcami, ale tylko prawéj ręki. Mięso u nich przed gotowaniem na małe kawałki pokrajane bywa, dla uniknienia potrzeby używania nożów przy stole. Jedzą jak w Lewancie siedząc z założonemi na krzyż nogami, w koło okręgu ze skóry czerwonéj, na którym stawiają żywność na półmiskach z drzewa i w wazach z miedzi zrobionych. Jedzą na przemian chleb i mięso, a piją dopiero po obiedzie i to w tenczas, gdy już mają odejść od stołu aby się umyć. Kobiety nie jadają z męczyznami. Zwyczajem jest u nich jeść dwa razy na dzień rano i wieczór. Ich obiady są krótkie, odbywają się w najgłębszém milczeniu, a rozmowa zaczyna się dopiero gdy poczną palić fajki i pić kawę, wino lub wódkę.